

Czasem, kiedy się idzie jakąś ulicą (na przykład ulicą Piękną) albo jakimś parkiem (na przykład parkiem Ujazdowskim „koło łabędzia”), można spotkać dwie osoby.

Idą sobie razem — jako osoby zaprzyjaźnione — i albo rozmawiają, albo nie. Zależy to od tego, czy chce się im rozmawiać, czy też wolą milczeć.

Jedna z tych osób nazywa się Ika. Wprawdzie takiego imienia nie ma. Ale jeśli przed kilku laty ktoś miał kłopoty z literą „r” i zamiast mówić „rozebrać”, mówił „ozebłać”, a zamiast „Irka”, mówił „Ika” — to wszystko staje się zrozumiałe. Jeśli zaś sama Ika jest zdania, że ma bardzo dobre imię, to i my powinniśmy uważać sprawę za załatwioną.

Ika jest osobą bardzo jeszcze niewysoką. Ponieważ jednak zostało sprawdzone, że rośnie z szybkością jednego centymetra na miesiąc — staje się coraz wyższa. W naszych czasach nie jest to szybkość największa — ale zawsze coś. Trzeba zresztą przyznać, że Ice na razie wystarcza.

Jest to zatem osoba niewysoka, ale za to dość wesoła. Ma oczy ciemniejsze od włosów, brwi ciemniejsze od oczu, trochę zadarty nos i okrągłą brodę, nad którą, kiedy się śmieje, widać z lewej strony dołek „ze śmiechu”.

Osoba druga nazywa się Groszek.

Nie jest to ani imię, ani nazwisko, tylko przezwisko. Nie takie przezwisko, za które człowiek się gniewa, ale do którego się po prostu przyzwyczajają. Z początku Groszkowi trudno było się przyzwyczaić, bo zaczęło się od tego, że ktoś powiedział:

— On ma nos jak groszek.

Żadna to przyjemność usłyszeć coś takiego, ale imię się przyczepiło. Wszyscy się zmówili: Groszek i Groszek. Nos się zmienił z groszka w fasolę, z fasoli w kartofel, z kartofla w zwykły nos — a przezwisko zostało. Groszek się w końcu z tym pogodził i czasem, przez zapomnienie, mówił na przykład nowym nauczycielom, że nazywa się Groszek. Wynikały z tego pewne nieprzyjemności, bo w spisie było całkiem inne imię i nazwisko, ale i tak kończyło się na tym, że sam nauczyciel wreszcie zaczynał mówić — Groszek.

Groszek jest starszy i większy od Iki — nie tak znowu, by to było rażące. Ale na tyle, żeby przy przechodzeniu przez najruchliwsze ulice brać Ikę za rękę. Trzeba jednak przyznać, że też jest niewysoki (choć wyższy od Iki), jego oczy zaś też są brązowe. Brodę ma za to trochę kwadratową, włosy ciemniejsze niż Ika, a zamiast dołka w policzku, dwie zmarszczki jak całkiem dorosły mężczyzna. Jest przy tym od Iki poważniejszy, bo twierdzi, że ma więcej do przemyślenia.

Może nawet i ma — ale i tak nie zawsze. Wobec tego można ich czasem spotkać, jak idą jakąś ulicą albo jakimś parkiem i śmieją się na cały głos.

Groszek i Ika są przyjaciółmi. Mieszkają w jednej kamienicy i na tym samym piętrze. Każde z nich ma swoje własne zajęcia i swoje własne godziny rozrywek, lekcji, gry w piłkę i tym podobnie. Równocześnie jednak widują się co dzień, wspólnie wychodzą na miasto — często chodzą nawet razem do kina albo do teatru, oczywiście tylko na poranki.

Przedstawienia wieczorne zostawiają rodzicom.

— Nie należy się wtrącać w ich sprawy — powiada Groszek,

— Rzeczywiście — mówi Ika.

I na ten temat panuje zgoda zarówno między Groszkiem i Iką, jak i pomiędzy nimi i ich rodzicami. To się nazywa, że „każdy ma swoje prawa i swoje obowiązki”. Groszek nazwał to kiedyś „wzajemną umową społeczną”, ale ponieważ nie umiał ściśle wytłumaczyć, czy tę umowę się podpisuje, czy nie, przestał się na nią powoływać.

Wszystko to bardzo ładnie, ale nie ma co ukrywać, że czasem bywa gorzej. Czasem zdarzają się kłopoty. Takie same, jakie zdarzają się każdemu: niepowodzenie w szkole, nieporozumienie w domu, plama na sumieniu, podarta koszula lub rozbite kolano. To właśnie jest życie i nie ma się co przejmować. Tym bardziej, że w podobnych kłopotach najwięcej właśnie daje przyjaźń. Na przykład Groszek pomaga Ice w rachunkach, które lubią się nie zgadzać — a Ika Groszkowi w zszywaniu piłki do siatkówki, która łatwo pruje się na szwach.

Przykładów można by zresztą wyliczyć kilkadziesiąt, ale nie ma na to miejsca ani czasu. Ostatecznie pozostają nam ważniejsze sprawy do opowiedzenia.

Oczywiście Groszek i Ika są to osoby żywe i prawdziwe. Dlatego ich przyjaźń także przechodzi różne koleje. Nie zawsze się na wszystko wspólnie zgadzają, ale może to nawet i dobrze, bo jakaż to przyjaźń, kiedy jedno tylko rozkazuje, a drugie tylko słucha?

Na przykład. Kiedy zaczęli się zaprzyjaźniać, Groszek powiedział:

— Masz mnie, Ika, słuchać, bo ja jestem chłopiec.

Ale Ika nie zgodziła się:

— A dlaczego?

Groszka zatkało.

— Przecież jestem chłopiec, i to starszy!

— A ja — powiedziała Ika — jestem dziewczyna, i to młodsza. I co z tego?

Groszkowi taka odwaga nawet się spodobała.

— Więc jak ma być? — spytał.

— Kiedy ty będziesz miał rację — powiedziała Ika — ja mogę ciebie słuchać. Ale jak nie będziesz miał racji i zechcesz tylko rozkazywać, żeby rozkazywać, to ani mi się śni. Jasne?

Groszek zastanowił się.

— Można i tak — powiedział. — Ostatecznie może być równouprawnienie.

— Ostatecznie? — spytała Ika. — Jak „ostatecznie”, to możemy w ogóle ze sobą nie rozmawiać.

Groszek pokiwał głową.

— Nareszcie wiemy, co to znaczy, że twoja matka powiedziała do mojej matki: „Ika ma charakterek”.

— A jak miała powiedzieć? Tylko dorośli mają charaktery. My mamy dopiero charakterki — zamknęła sprawę Ika.

Siedzieli wtedy w słońcu, na podmurówce kamienicy i rozmawiali ze sobą właściwie po raz pierwszy.

Była wtedy wiosna, sam jej początek — zaraz po pierwsnkach.

Potem przyszło lato.

Na wakacje pojechali w różne strony. Napisali do siebie po dwie kartki, po jednej na każdy miesiąc wakacji. Ika pisała o górach, w których była. Groszek — o morzu. Kartki były krótkie, ale za to, kiedy spotkali się znowu, zaczęła się taka rozmowa, jakby po godzinie dwudziestej drugiej puszczono obok siebie na pełny regulator cztery radia.

Na wakacjach bowiem zdarzyły się różne przygody: Ika zabłądziła w Dolinie Białego, a Groszek wypłynął na zatokę w dziurawej łódce. I tak dalej, i tak dalej. Ika widziała zorzę polarną, a Groszek obóz cygański, Ika była na weselu góralskim, a Groszek na kaszubskim.

Po wakacjach zaś, jak wiadomo, przyszła jesień.

Trzeba się było znowu przyzwyczajać do szkoły, do nowych koleżanek, kolegów, do nowych nauczycieli i podziałów godzin. Początkowo wrzesień był bardzo ładny i Groszek nawet rzadziej spotykał się z Iką, bo grało się w piłkę do dwóch bramek, i to na prawym skrzydle.

Ale właśnie w połowie września zdarzyło się coś takiego, co sprawiło, że Groszek zapomniał nawet o piłce.

Zdarzyło się mianowicie to, że na podwórze ich kamienicy wjechał — a raczej został wepchany — pewien samochód. Groszek właśnie wracał do domu ze szkoły, kiedy ujrzał wtaczające się na podwórze samochodzisko, popychane przez Lokatora z Pierwszego Piętra i gospodarza kamienicy, oraz przyglądającą się temu Ikę.

— Widziałeś coś takiego? — spytała Ika.

— Inwalida! — powiedział Groszek.

— Inwalida? Takiej marki nie ma.

— Pewnie, że nie ma — śmiał się Groszek. — Inwalida to znaczy kaleka. A tyle jest wart, co maszyna do szycia na kółkach. Możesz wprawić w niego pedały i pojechać dookoła świata.

Ika przystanęła.

— Ty, Groszek! Kto jeździł w autku z pedałami? Ja czy ty?

— No, niby ja. Ale to było bardzo dawno.

— Dobrze, dobrze. A jakiej marki jest ten in... in... kaleka, nie wiesz i tak,

— A ty wiesz?

— Wiem.

— To powiedz.

— Opel-Kapitan.

Groszek uniósł brwi bardzo wysoko.

— A może Opel-Pułkownik?

Ika wzruszyła tylko ramionami.

— Możesz się spytać. Zakład?

— Zakład.

— Nie — powiedziała Ika. — Jestem uczciwym człowiekiem i nie będę cię nabierać. Ja wiem, jakiej marki był ten... inwalida. Bo ja się już o to pytałam. Ja nawet wiem, po co on tu będzie stał.

— Po co?

— Żeby go rozebrać na części.

Groszek spojrział na samochód, pokiwał głową.

— To wcale niewesołe zajęcie być rozbieranym na części.

Powiedział to poważnie.

Ika też się zamyśliła.

Potem powiedziała również całkiem poważnie:

— Tym razem masz rację.

A samochód toczył się niezgrabnie, chrzęścił i skrzypiał, dzwonił i kaszłał. Karoserię miał poobijaną, porysowane szyby, opony zdarte. Kiedy był młody, wyciągał na pewno „setkę” jak nic. A teraz? Teraz w słońcu wyglądał żałośnie i nieszczęśliwie.

— To nie jest inwalida — powiedział nagle Groszek. — To jest dzielny weteran.

Musiało im się zdawać. Może to była tylko wina słońca. Ale po tych słowach coś się na chwilę odmieniło: lakier karoserii błysnął jak nowy, szyby zaśniły, opony zaszurały cicho po kamieniach podwórza i wóz przez kilka metrów toczył się sam na swoje miejsce, lekko tylko mruczając jak przy zapuszczonym motorze. Pchający go mężczyźni opuścili ręce w zdumieniu.